

GILLEN D'ARCY WOOD

KRAINA
WIECZNEGO
ZIMNA

WYŚCIG DO POZNANIA
TAJEMNIC UKRYTYCH
W LODACH ANTARKTYDY

TŁUMACZENIE
AGNIESZKA LISZKA-DRAŹKIEWICZ

Wyścig się zaczyna

Rankiem 6 września 1837 roku francuska antarktyczna ekspedycja odkrywcza, złożona z bliźniaczych korwet *Astrolabe* i *Zélée*, ze stu sześćdziesięcioosobową załogą, wyruszyła spod białych klifów Tuluzy. Gazety okrzyknęły wyprawę d'Urville'a skazaną na porażkę, a mała flotylla łódek z rodzinami członków załogi podrygiwała obok korwet w smutnej procesji. Matki i żony płakały otwarcie, jak się okazało całkiem słusznie. Zanim d'Urville doczłogał się z powrotem do Tuluzy trzy lata później, jedna czwarta jego załogi zmarła albo zdezerterowała. On sam wrócił jako człowiek zdruzgotany, któremu nie zostało wiele życia. Siedemdziesiąt lat przed kapitanem Scottem Antarktyda stworzyła swoich pierwszych męczenników.

W tym samym czasie w Waszyngtonie francuskie ambicje dotyczące Oceanu Południowego oraz imponujący życiorys Dumonta d'Urville'a zaprzętały stale myśli członków administracji Jacksona. W latach trzydziestych XIX wieku granica Ameryki wciąż jeszcze znajdowała się bardziej na oceanach niż na zachodzie. Andrew Jackson przewertował opasłe tomy upamiętniające pacyficzną ekspedycję d'Urville'a z lat 1828–1829 na pokładzie *Astrolabe* i był urzeczony znakomitymi ilustracjami i ogólną atmosferą bohaterkiego przedsięwzięcia. Zadeklarował, że Stany Zjednoczone przygotowują wyprawę na jeszcze większą skalę, z naukowymi cudami jak u d'Urville'a, które będą tego dowodem. Było to w 1836 roku. Jednak trzy

lata później, kiedy Jacksona nie było już w Białym Domu, Amerykańska Ekspedycja Badawcza wciąż marnowała czas w porcie w Hampton Roads, w Wirginii, jako ofiara konfliktów i ogólnej niekompetencji zarządu floty.

Ekspedycja francuska została ogłoszona światu za pośrednictwem gazet w 1837 roku. Następnego lata, kilka dni przed tym jak kapitan Charles Wilkes wreszcie wydał rozkaz wyruszenia amerykańskiej flotylii antarktycznej, dotarła do niego szokująca informacja, że d'Urville dopłynął już do Ziemi Ognistej, na krańcu Ameryki Południowej i podążał dalej na południe. d'Urville zostawił notkę informującą o swoich zamiarach w najbardziej samotnej skrzynce pocztowej świata, na wzgórzu nieopodal przylądka Horn. Kapitan statku wielorybniczego z Nowej Anglii znalazł ją tam i sumiennie przywiózł do Bostonu. Sfrustrowani Amerykanie, którzy jako pierwsi ogłosili swoje antarktyczne plany, byli teraz o równy rok za Francuzami.

Jednak jakkolwiek wielka była amerykańska udręka spowodowana przewagą d'Urville'a, nie mogła się ona równać z darcie szat, jakie miało miejsce w Londynie latem 1838 roku, pierwszego roku rządów królowej Wiktorii. Tutaj rządzący tą światową potęgą musieli znosić upokorzenie ustąpienia miejsca w wyścigu do odkrycia bieguna południowego zarówno Francji, jak i Stanom Zjednoczonym. Brytyjscy naukowcy, kierowani przez inżyniera o nazwisku Edward Sabine, od dawna naciskali na misję antarktyczną, która pozwoliłaby zakończyć sporządzanie map magnetycznego pola Ziemi. Jednak Sabine nigdy nie zdołał przedstawić swojego donkiszotowskiego planu uwadze rządu Jej Wysokości, a co dopiero złożyć go na biurku premiera.

Wieści o ekspedycjach d'Urville'a i Wilkesa zmieniły tę sytuację. W listopadzie 1838 roku wyprawa na biegun południowy była przedmiotem pilnych dyskusji w pałacu, w obec-

ności młodej królowej i pierwszego z jej wielu premierów, lorda Melbourne'a. Po nich nastąpiło spotkanie z kancle-rzem skarbu. Z niemal niestosownym pośpiechem zmateria-lizowało się sto tysięcy funtów na sfinansowanie królewskiej ekspedycji w poszukiwaniu Terra Incognita Australis. Wiele osób uważało, że to poniżej godności Brytyjczyków, jako naj-większej morskiej potęgi, by współzawodniczyć z francuskimi i amerykańskimi okrętami w jakiegokolwiek oceanicznej wy-prawie. A jednak oto i oni, wciągnięci w wyścig do bieguna południowego. Kiedy już raz się zadeklarowali, nie było miej-sca na półśrodki. Admiralicja wysłała swoje najlepsze statki: zdolne przełamywać lody okręty Erebus i Terror, oraz praw-dziwego polarnego bohatera, Jamesa Clarka Rossa, sławnego odkrywcę północnego bieguna magnetycznego, jako ich do-wódcę.

Ale nawet rządzący Imperium Brytyjskim nie mogli spo-wolnić czasu. Jako ostatni wskakujący do króliczej nory an-tarktycznego wyścigu Ross dotarł do podzwrotnikowej Ma-dery, położonej u wybrzeży Afryki, w październiku 1839 roku. Jego oficerowie wspięli się na jej słynny szczyt, by spojrzeć na Ocean Atlantycki i poszukać małego stożka z kamieni, kopca z wiadomościami, pozostawionego przez ich rywala, Wilkesa. Notatka Amerykanina została zjedzona przez kozy, ale ofice-rowie Erebusa dowiedzieli się od miejscowych o planach Wil-kesa, uwzględniających wyruszenie na południe jeszcze tego lata. Biorąc pod uwagę, że lód na morzach Antarktyki cofa się tylko na trzy miesiące w roku, od grudnia do lutego, znaczyło to, że biegun południowy był w tym roku poza zasięgiem Bry-tyjczyków. Nie ze swojej winy Ross znalazł się o rok za Amery-kanami i o dwa za Francuzami. Mgliste widmo porażki zawis-ło nad nim i jego ekspedycją. Rozważając swoje możliwości na Maderze, Ross zdecydował, by w tym roku posunąć się najda-lej jak to tylko możliwe na południe, na subantarktyczne wody

Oceanu Indyjskiego, z Wyspami Kerguelena, być może do najbardziej odległego portu na Ziemi. Stamtąd czekała go odyseja na wschód, do australijskiego portu Hobart, gdzie mógł zdobyć informacje na temat francuskich i amerykańskich postępów i zaplanować, jak można pokonać rywali, nie szczczędząc żadnych koniecznych środków.

Jeszcze wiosną 1837 roku król Ludwik Filip zaskoczył Dumonta d'Urville'a, akceptując jego prośbę o trzecią ekspedycję na morza południowe. Jednak radość sławnego podróżnika nie trwała długo. Jego wysokość zastrzegł, że w swojej trzyletniej wyprawie d'Urville powinien zawrzeć próbę dotarcia do bieguna południowego i zatknięcia tam francuskiej flagi przed Brytyjczykami i Amerykanami oraz wytyczenia nowych miejsc do polowań dla znajdujących się w trudnej sytuacji francuskich wielorybników. d'Urville był zszokowany. Podziwiał brytyjskich polarników, Cooka, Parry'ego oraz Johna i Jamesa Rossów, ale wołałby trzy lata w tropikach od dwóch miesięcy wśród lodu.

Nikt nie wiedział, co znajduje się na południe od 74 równoleżnika: otwarte morze, kontynent wypełniony nigdy niewidzianymi stworzeniami czy może wielka otchłań? d'Urville, który przez całe swoje życie był człowiekiem nauki i przygody, nigdy nie uważał, że to właśnie on powinien rozwiązać tę zagadkę. Odwołał się do swojego bohatera, Jamesa Cooka, który sześćdziesiąt lat wcześniej zatrzymał się przed południowymi masami lodu i oświadczył, że jest to straszliwe miejsce, w które żaden człowiek nie chciałby się zapuścić.

Dlaczego biegun południowy? Dlaczego teraz? Król, jak sądził d'Urville, czytał przygodowe opowieści dwóch sławnych wielorybników: Anglika Jamesa Weddella i Ameryka-



Rys. 1.1. Pośmiertny portret Dumonta d'Urville'a, autorstwa Jerome'a Cortelliera (1846). Grand Palais, Pałac w Wersalu

nina Benjamina Morrella. Obaj autorzy przedstawiali kuszące perspektywy oceanicznej drogi do południowego bieguna, tropikalnych temperatur i dziewiczego lądu, z bogatymi zasobami wielorybów i fok, leżącego poza lodową fosą, która zniechęciła Cooka.

Podczas przygotowań do podróży d'Urville odwiedził Londyn, aby zebrać jak najwięcej informacji i zakupić najnowsze mapy i kompasy w stolicy morskiego świata. Urzędnicy admiralicji, których spotkał, milczeli na temat dalekiego południa, urażeni, że francuska ekspedycja zamierza odkrywać „brytyjskie” wody. Jeśli jednak poruszyło się temat wyprawy Jamesa Weddella z 1823 roku, stawali się nagle bardzo rozmowni. Kapitan Weddell był „prawdziwym dżentelmenem”, a rekordowe

dotarcie do 74 równoleżnika – tryumfem brytyjskiego żeglarstwa. Francuscy czytelnicy pochłaniali tłumaczenie historii Weddella. Jednak d'Urville, który nigdy nie słyszał o dżentelmenie łowcy fok, nadal był nieprzekonany. A jeśli chodzi o „Największego Kłamcę na Pacyfiku”, Benjamina Morrella, to jego pseudonim był dobrany odpowiednio. Jednak nikt na francuskim dworze nie był wystarczająco mądry, żeby trzymać te przygodowe opowieści z dala od królewskich rąk, ani wystarczająco odważny, żeby powiedzieć mu, że wszystko to tylko fantazje.

W swoich dwóch pierwszych podróżach dookoła świata d'Urville był zdecydowany i pełen nadziei, był panem swoich własnych iluzji. Jednak teraz był starym człowiekiem (jeśli liczyć w morskich latach), przewlekłe chorym i pozbawionym złudzeń. Podczas długiego lata przed startem jego antarktycznej ekspedycji czuł, jakby tracił z oczu swoje przeznaczenie. W najtrudniejszych momentach myślał, że zostawia swoją ukochaną żonę i synów dla długoletniej misji na krańce Ziemi w pogoni za nieosiągalną nagrodą.

D'Urville zalecał się do Adéle Pépin w książkowy sposób, przesiadując w sklepie jej ojca, w Tulonie, podczas gdy ona uśmiechała się do niego zza lady. Jednak tego lata w ich tulońskiej willi doświadczony podróżnik i jego żona byli niczym duet żalonych skrzypiec, grających w osobnych pokojach. D'Urville wykorzystał słabość Adélie do podróżniczych opowieści przeciwko niej i zagrał na jej matczynej ambicji. Powiedział jej, że dzięki tej trzeciej wyprawie zostanie dziedzicem sławy wielkiego Cooka. Przyszłość ich dzieci, jako synów bohatera narodowego, będzie zapewniona. Jak oboje przewidywali, poddała się jego woli, ale nie bez kosztów. W miarę jak zbliżał się dzień jego wyjazdu, coraz bardziej pograżała się w towarzyszącej jej stale żalobie po dwojce dzieci, które wcześniej stracili. Mąż i żona rozmawiali mniej i choć Adélie nie

narzekała, wiedział, że czuła, iż zamknął ją w pułapce, że przypiętutowywał dla niej straszliwy los.

Niepokój d'Urville'a w obliczu wyprawy antarktycznej przerodził się w prawdziwy koszmar. Sen rozpoczynał się od niego samego i Cooka, stojących obok siebie przed wielkim parlamentem, upajających się chwałą swoich trzech wypraw dookoła świata. Następnie d'Urville znajdował się z powrotem wśród lodu, za sterem Astrolabe, w wąskiej cieśninie zamkniętej od dziobu i rufy. Wykrzykiwał ochryple rozkazy do pustego pokładu, podczas gdy lód wiecznie się przed nim odnawiał, tworząc śmiertelny przesmyk bez wyjścia. Jednak kiedy dotarły z Paryża oficjalne rozkazy, by płynął w stronę bieguna, koszmary nagle ustały. Od momentu gdy stary wiarus postawił stopę na pokładzie Astrolabe, wszelkie obezwładniające domowe uczucia zniknęły. Stał się swoimi rozkazami. Adélie i jego synowie, Jules i Emile, stali na nabrzeżu i żegnali go ze łzami w oczach. Francuska ekspedycja polarna wyruszyła w samą porę. Dwa tygodnie po tym, jak Astrolabe i Zélée wypłynęły z portu, w Tulonie wybuchła śmiertelna epidemia cholery.

W jaki sposób d'Urville pogodził się ze swoją antarktyczną misją? Jako że był rok 1837, wielka epoka odkrywców była już przeszłością, a do głosu dochodziły ordynarne interesy handlowe, kapryśna publiczność francuska domagała się czegoś nowego. „Ludzie lubią niespodzianki”, powiedział Napoleon. Podróż do dzikiej, nieznannej Antarktydy tym właśnie była. Jednak były też nieprzyjemne przeciwności, którym trzeba było stawić czoła, *niechęć ludzi na wysokich stanowiskach*. Jego wieloletni nieprzyjaciel, François Arago, dyrektor Królewskiego Obserwatorium i członek Izby Deputowanych, przedstawił ekspedycję polarną jako kosztowne szaleństwo. d'Urville prowadził swoich ludzi na pewną śmierć na lodzie. „Kiedy już w tym roku wydamy pieniądze ludzi, żeby wysłać

go na opustoszałe krańce świata, gdzie nie ma czego odkrywać – Arago oburzał się przed parlamentarzystami – czy w przyszłym roku będziemy musieli głosować nad przyznaniem funduszy na przywiezienie ciał z powrotem?”

Po tym, jak straszne proroctwo Arago zostało opublikowane w każdej gazecie we Francji, rekrutacja załogi w tulońskich dokach weszła nagle w fazę kryzysu. d'Urville został zmuszony do uzupełnienia załóg Astrolabe i Zéléé nowi-cjuszami, chłopcami okrętowymi i pochlebcami. Nawet dla zdesperowanego, potrzebującego ludzi kapitana niektórzy byli zbyt głupi lub wyglądali zbyt niebezpiecznie, żeby można było ich przyjąć. Zresztą z tych, którzy zostali zaakceptowani, większość oceniono jako trzeciorzędnych, nie- wykwalifikowanych i niesprawdzonych, zwłaszcza do podróży wymagającej najlepszych ludzi. Tak wyglądała nędzna rzeczywistość wypraw, nigdy nieopisana w cudownych opowieściach o podróżach, które pochłaniała jego żona Adélie (wraz z połową innych Europejczyków). Aby rozwiązać swój problem z siłą roboczą, d'Urville zwrócił się z petycją do króla, aby ten zaoferował nagrodę pieniężną: sto franków na osobę za pobicie rekordu Weddella w podróży na południe, a potem dodatkowe dziesięć za każdy równoleżnik poza nim. Był to patriotyczny apel, któremu tulońska społeczność żeglarska nie mogła się oprzeć.